ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 4 listopada 1934 r. | Nr. 46

Andrzej Mikułowski

Biuletyn z pustyni

Drugi tom „Rocznika Literackiego“, wydawanego przez „Instytut Literacki“ pod redakcją Z. Szweykowskiego, ukazał się niedawno. Przedsięwzięcie, mające na celu ujęcie całokształtu rocznego dorobku naszej literatury pięknej jest poważną pozycją wydawniczą i zajęcie stanowiska krytycznego w stosunku do niego jest zadaniem niełatwem. Niepodobieństwem jest znać cały materjał, ujęty przez „Rocznik“ i skonfrontować sąd o nim z sądem własnym. Trzeba więc raczej ograniczyć się do roli zwykłego czytelnika, obdarzonego tylko pewnem nastawieniem krytycznem. Mimo to szereg refleksyj i ogólniejszych wniosków narzuca się odrazu.

Do czego służyć ma „Rocznik“? Trudno znaleźć odpowiedź na to pytanie w tomie drugim, w którym redakcja i wydawcy milczą, a i treść sama nie ujawnia jasno, pod kątem jakich potrzeb materjał był opracowywany. Sięgnijmy więc do przedmowy tomu I-go. Według niej, zadaniem „Rocznika“ jest „dążenie do jaknajpełniejszego notowania faktów literackich“, „danie wyrazu współczesnym tendencjom, ujawniającym się na terenie literatury“ i „ocena zjawisk literackich“. Komu „Rocznik“ ma służyć? Na to pytanie przedmowa odpowiedzi nie daje; należałoby sądzić, że współczesnym, celem zorjentowania się w masie zjawisk codzień napotykanych i wyrobienia sobie o nich ogólnego pojęcia, ale także potomnym, którzy mogliby znaleźć w „Roczniku“ dokument rzeczywistości literackiej naszych czasów, w ocenie możliwie objektywnej, choć podlegającej nieuchronnie subjektywizmowi czasu.

Rzut oka na „Rocznik“ pod kątem tych potrzeb wykazuje, obok bardzo poważnych zalet, także sporo wad i usterek, któremi trzeba się zająć, bo wydawnictwo jest stałe i może, wziąwszy szereg zarzutów pod uwagę, poprawić się w przyszłym roku. Najpoważniejszą wadą, jak sądzę, jest wyczuwalny brak proporcji w ocenie zjawisk, który skrzywia obraz rzeczywistości, wytwarzający się w świadomości czytelnika. Wynika to przedewszystkiem ze zbyt lekkiego może traktowania sprawy objektywizmu w ocenie zjawisk współczesnych: objektywizm jest niemożliwy, więc niema co nawet się o niego starać; polegamy na kompetencji i rzetelności naszych współpracowników. Powstaje stąd pewien chaos i „Rocznik“ zamienia się w cykl oderwanych feljetonów, często popadających nawet w sprzeczności w ocenie, a niedających poszukiwanego obrazu tego, co jest. Kwestja objektywizmu jest niewątpliwie ogromnie trudna, tak jak danie syntezy w tym wypadku poprostu niemożliwe. Możliwe jest natomiast zbliżenie się jaknajwiększe do objektywizmu i podanie faktów tak, aby umożliwić czytelnikowi samodzielne stworzenie sobie syntezy. Bardzo ważna jest tu kwestja koordynacji, głównie redakcyjnej.

Podział, dokonany w „Roczniku“, nie czyni jeszcze zagadnienia przejrzystem; podział na kwestje, gatunki literackie i t. p., jest zbyt konwencjonalny, by miał coś wyjaśniać. Wszyscy już mamy te szufladki w mózgu i automatycznie oddzielamy lirykę od powieści, a krytykę literacką od dramatu. Podział konieczny, ale niewystarczający; przejrzystość można osiągnąć tylko przez wyraźne zestawienie hierarchji wartości. Jest to znowu trudne i może nawet w pełni nieosiągalne, ale postawienie tej nieosiągalności, jako założenia programowego, jest może niepotrzebne. Stąd powstaje sprzeczność w treści, na którą zwrócił uwagę p. W. J. w „Myśli Narodowej“: Czytelnik na wstępie napotyka rozstawione już przez krytyków „Rocznika“ zdanie St. Kołaczkowskiego: „Niestety, naszą dzisiejszą literaturę można podzielić na grupy barbarzyńców, prymitywów i kulturalnych dekadentów. Wspólna tym grupom jest tylko megalomanja“, a dalej sądy innych krytyków, że to jest dobre, tamto świetne, a owo ma trwałą wartość—i stąd zdezorjentowanie. Zależnie od swego pesymistycznego, czy optymistycznego nastawienia daje wiarę jednym, lub drugim sądom. Zdarza się, że jeden krytyk sam sobie przeczy, jak to widzimy u Z. Czernego, który chwaląc staranność i kompetencję tłumacza, pisze dalej, że spotyka u niego „mszyce“, jako odpowiednik francuskiego „chenille“, czy „bojaźń wody“ zamiast „nagietka deszczowego“ (souci d'eau). Można rozumieć, że to pobłażliwość, ale mało uzasadniona i myląca. Zdarzają się sprzeczne sądy dwóch krytyków o tym samym autorze (Adamczewski w rozdziale „Dramat“ i Irzykowski w rozdziale „Dramat w literaturze“ o Morozowicz-Szczepkowskiej i jej „Sprawie Moniki“).

Zbyt poważny stosunek krytyków do grafomanów, a zbyt lekki do rzeczy poważnych, również wprowadza zamęt. K. W. Zawodziński uważa za stosowne traktować o każdym grafomanie, który wydał tomik „wierszy“ własnym nakładem, gdzieś w Kołomyi, a dalej pisze otwarcie, że nie zapoznał się z ostatniemi utworami Zegadłowicza, bo wydawcy nie nadesłali, a poezje Młodożeńca w pismach nie zachęcają do poznania jego „Gam i pejzażów“. Niebardzo chce się wierzyć w ową niedostępność książek, wydanych niedawno i nieanonimowo, a zajmować się głupstwami naprawdę nie warto. Niema potem miejsca na rzeczy poważne, co też nie jest bez znaczenia. Widzimy, że jakaś tam powieść Szaloma Asza omawiana jest na 3 stronach, a jednocześnie takie pozycje, jak przekłady laureata Nobla Sinclaira Lewisa, Bertranda Russella, czy średniowiecznego moralitetu angielskiego nie są nawet wzmiankowane krytycznie. Można zrozumieć, że powieść Asza ma tu stanowić cały rozdział przekładów z literatury żydowskiej, a „angliana“ były tak bogate, że nie starczyło miejsca nawet na zupełnie poważne pozycje, ale czytelnik nieorjentujący się gotów wartościować na podstawie zainteresowania krytyka utworem. A przecież nie łatwiejszego, jak wepchnąć literaturę żydowską, rumuńską, jugosłowiańską i t. p. w jeden rozdział „Różne“, a oszczędzone miejsce zużytkować na coś lepszego. Subjektywne zainteresowania krytyka również rozstrzygają dowolnie o obrazie ogólnym. Np. M. Kridl, omawiając krytykę literacką, poświęca półtorej strony nowym 2 tomikom Boya, typowo standartowej robocie, i tyleż rozprawieniu się z nędznym „Obrazem współczesnej literatury polskiej“ Czachowskiego, a zaledwie w kilkunastu wierszach zdawkowo chwali doskonałą monografję o Brzozowskim Suchodolskiego, w którego osobie pojawiła się nowa gwiazda polskiej krytyki literatury.

Programowy brak koordynacji redakcyjnej „Rocznika“ sprawia, że niektórzy współpracownicy traktują swoje zadanie raczej jako „występ gościnny“, jak autorka artykułu o literaturze dla dzieci, który kończy pochwałą „Rocznika“, zbyt już „pro domo sua“ wyglądającą. Brak koordynacji widać też w paru niejasnościach i niekonsekwencjach układu. Dlaczego np. wydanie 2 satyr Zabłockiego z rękopisu zaliczone zostało do „wznowień literackich“? Rozdział o czasopismach wprowadza też podział na problemy literackie i kulturalne i zupełnie inaczej segreguje czasopisma od L. Płoszewskiego, który swój układ wprowadził w „Roczniku“ pierwszym; w tekście nie widać uzasadnienia takiej zmiany oblicza tych czasopism.

Ciekawe, że ten właśnie rozdział, zawierający zresztą bardzo wiele niezmiernie trafnych uwag i charakterystyk, ujawnia pozostałe dwie wady czy usterki „Rocznika“, które zaliczyłbym do najgłówniejszych: zbyt lekkie, lekceważące traktowanie przedmiotu i brak ujęcia t. zw. życia literackiego, które pozwoliłoby może najłatwiej zsyntetyzować całość. Obie wynikają z braku wzięcia pod uwagę trwałego znaczenia „Rocznika“, jako cennego dokumentu za lat kilkanaście, albo i więcej.

Ton „Rocznika“ jest żywy, feljetonowy, polemiczny często, co czyni go przyjemnym w czytaniu. Ale wszystkie te rzeczy przestaną bawić szybko, a nawet mogą stać się nużące. Lekki styl W. Kubackiego, tańczącego jak Puk między czasopismami i rzucającego dowcipne charakterystyki, polemika prof. Kołaczkowskiego z prof. Kridlem we wstępie, cały rozdziałek K. W. Zawodzińskiego, poświęcony udowodnieniu jakiemuś p. Dąbrowskiemu, że poezja a piosenka kabaretowa, to nie to samo — na przykładzie współczesnej literatury **rosyjskiej**, czy wreszcie wyjaśnienie, dlaczego R. Blüth nie uważa kina za sztukę, na marginesie jakiejś książki o kinie — to wszystko efemerydy, które stracą znaczenie i całą treść za lat kilka i będą się wydawały ówczesnemu czytelnikowi niepotrzebnemi i nic nie mówiącemi dodatkami. Trzeba myśleć o przyszłości.

Tego „futurystycznego“ nastawienia nie widać również w braku socjologicznego punktu widzenia, o czem już pisał p. A. Potocki w „Pionie“. Życie literackie, owa atmosfera, która otacza literaturę i jest ożywcza, lub trująca, jest łatwiej uchwytne dla nas, niż dla tych, którzy będą patrzyli na literaturę w r. 1933 z perspektywy lat 20. Dlatego też „Rocznik Literacki“ mógłby postarać się tę atmosferę odmalować:

Omawiając np. przekłady, warłoby powiedzieć coś o problemie przekładów wogóle: jaki wpływ wywierają, jaki procent stanowią w ogólnej liczbie wydawnictw, zwrócić uwagę na niski poziom tłumaczeń wogóle i na skandaliczne praktyki wydawców — specjalistów od przekładów (przy dokładnem przyjrzeniu się bibljografji podanej uderza fakt częstego wydawania jednej i tej samej książki kilkakrotnie pod różnemi tytułami, przyczem zawsze ma to coś wspólnego z „Wydawnictwem Współczesnem“). Te rzeczy, obrazujące nietyle stan, ile warunki rozwoju literatury, nie są pozbawione znaczenia. To samo można powiedzieć o literaturze brukowej, od której odgrodzono się wyniosłem zatrzaśnięciem drzwi. Oczywiście, należałoby tu zastosować specjalną metodę, nie omawiając każdej pozycji osobno, jak to robi p. Zawodziński ze swymi grafomanami, ale ująć rzecz z ogólnego i raczej społecznego punktu widzenia, bo jednak rzeczy tego rodzaju mają duży wpływ na czytelnictwo, które nie jest chyba dla literatury czynnikiem małoznaczącym. Z tego samego punktu widzenia ważne są działy literackie w czasopismach codziennych, które przecież rozchodzą się najszerzej i urabiają opinję. Może nie należałoby mówić „pro domo sua“, ale objektywnie każdy przyzna, że ważniejszy jest dział literacki każdego poważniejszego pisma od poematu p. Cyrklaffa w 3 częściach, wydanego w Grudziądzu dla koła najbliższej rodziny autora. Pisał zresztą już o tem we wspomnianym wyżej artykule p. A. Potocki.

Wspomniawszy jeszcze o istnieniu nieuniknionych paru drobniejszych usterek, jak błędy w korekcie, brak koordynacji w stosowaniu petitu niewiadomo według jakich zasad, brak bibljografji w niektórych rozdziałach, na tem można zamknąć czarną listę zarzutów i przejść na stronę optymistyczną.

O zaletach słów niewiele, ale mocnych. Najważniejsze w „Roczniku“ jest to, że jest. Wypełnia wielką i bardzo dotkliwą lukę, jest bezcenny, jako przewodnik i doradca, a nawet jako informator. Pożyteczność jego jest rzeczą tak oczywistą, że dowodzenie jej byłoby absurdem. Pozatem **taki**, jaki jest: krytyczne ujęcie literatury współczesnej względnie niezależne od tej okropnej atmosfery bezpłciowego, a żydowskiego, a żydowsko-programowego w swej bezpłciowości i w swej... seksualności i skandaliczności snobizmu wiadomościo-literackiego. Można rozmawiać, dyskutować, czegoś się nauczyć, z czemś polemizować na płaszczyźnie uczciwej i rzeczowej. O Peiperze i Pomirowskim, o Krzywickiej i Sztekkerowej nie słyszy się wcale, albo na właściwem miejscu. Możnaby nawet postawić zarzut, że słyszy się za mało; nie można się zorjentować tylko na podstawie „Rocznika“, że ta atmosfera przenika całą literaturę. Ale rzecz jest tak miła, że nie mamy za złe tego przemilczenia.

Odosobniony jest tylko jeden niemiły zgrzycik w rozdziale K. Irzykowskiego o dramacie w teatrze: „Postulat, żeby dramatyczność społeczna wynikała nietyle z ilościowej walki klas, ile z konfliktów osobistych... — Słusznie postawiony przez L. Pomirowskiego w „Nowej literaturze w nowej Polsce“. Czyżby to naprawdę dopiero Pomirowski? Przykre jest to kręcenie się wokół pępka Pomirowskiego. Pozatem zresztą artykuł K. Irzykowskiego jest bardzo interesujący i trafny, jak zresztą większość artykułów. Najlepszy, doskonały w syntezie i w literackiem ujęciu jest ten, którego celowość jest może najbardziej sporna: artykuł T. Makowieckiego o laureatach. Ale najcenniejsza w „Roczniku“ jest właśnie owa atmosfera, czysta i świeża, choć chwilami trochę zbyt ostra, jak na rocznik. „Rocznik“ czyta się jak kwartalnik, a chwilami nawet jak tygodnik. W. Kubacki bardzo słusznie pisze o głodzie porządnego pisma literackiego. Czy zwarty zespół, jaki niewątpliwie stanowią stali współpracownicy „Rocznika“, nie potrafiłby się zdobyć na zaatakowanie współczesności piórem w formie, która im widocznie bardziej odpowiada? Takie pismo, którebv mocnym **klinem** wbiło się w zastałą świadomość stołecznego snoba, jest bardzo potrzebne.

Czy „Rocznik“ spełnił swe zadania? Można śmiało powiedzieć: zgrubsza tak. Krytykując wady, nie można zamykać oczu na ogromne trudności, jakie stały przed autorami. Ogromny chaos materjału, z którego trzeba zestawić plastyczny obraz rzeczywistości uporządkowanej, pilnie uwydatniając nieliczne szczyty, wyższe wzniesienia i płaski, niski poziom przeważającej reszty — to rzecz nie tak łatwa do stworzenia.

Ta wędrówka po literaturze polskiej robi wrażenie podróży po pustyni. Nie jest to jednak imponująca rozmachem pustej przestrzeni Sahara, ale pustynia meksykańska, porośnięta kaktusami. Tem łatwiej w niej zabłądzić. Kilkunastu podróżnikom kazano zbadać tę pustynię. Tylko jeden stanął poprostu na skraju i rzekł: same kaktusy. Inni — z konieczności zresztą — rozeszli się po terenie, badając przez lupę każdy objekt zosobna, skrzętnie go opisując. Niektórzy dali się zwieść mirażom, biorąc kaktusy za palmy, a pustynię za ziemię żyzną. Biuletyn wyszedł obszerny. Jeżeli nie taki interesujący, to winę ponosi przedewszystkiem przedmiot.

Alfred Jesionowski

Do Pani Ireny Krzywickiej

(Liścik miast recenzji z tomu reportaży sądowych*)

Stoję w większości wypadków na przeciwnym krańcu poglądów, jakie Pani głosi i popularyzuje. Wolę jednak mówić czy pisać o czemś, co właśnie jest przeciwne moim poglądom. Łatwiej bowiem uniknąć czczych komplementów, więcej jest do powiedzenia niż przy poglądach zgodnych — a prowadząc polemikę uczciwą, łatwiej uzgodnić jedne, przygwoździć inne rzeczy.

Pani zbiór reportaży sądowych przeczytałem z zainteresowaniem, i niejedno ciekawe dałoby się powiedzieć na ten temat. Cóż — kiedy Pani wolała odgrodzić się ostatnim rozdziałem książki od tych krytyków, którzy nie należą do bezwzględnych zwolenników Pani działalności literacko-społecznej. Więcej, ostatni rozdział jest jakiś bardzo — nie — tego... wygląda poprostu na mały szantażyk, w każdym razie zawiera tę intencję. Jakże sobie bowiem wytłumaczyć poniższe słowa Pani, wyjęte z pierwszej stronnicy ostatniego rozdziału (str. 215): „Moje reportaże sądowe, mimo pochlebne dowody uznania, jakie mnie za nie spotkały, wywołały zgorszone skrzywienie wykwintnych warg i wysokie niezadowolenie wytwornych mózgów naszych nieżywych i obeschniętych krytyków“.

To zdanie samo nie byłoby jeszcze niczem strasznem: pewnem stwierdzeniem i wyładowaniem kiepskiego humoru. Ale dalszy ciąg, który tak wygląda: „Trudno, muszę się bronić, ale nie argumentami, bo te jeszcze u nas nikogo nie przekonały (przesada, proszę Pani!) ale cudzym autorytetem, i to takim, że do reszty zmartwiejecie, moi Panowie“ (str. 215) i wali Pani nazwisko Gide'a.

Więc co? Więc, że pan Gide uprawia m. in. także i ten rodzaj „literatury“ — to ma być argument zatykający gęby polskim krytykom? Czy Pani też chciała powiedzieć: Jeżeli tego autorytetu nie uznacie (a ja przecież idę tylko wślad „wielkiego“ Gide'a) — to jesteście „nieżywymi i obeschniętymi krytykami“, czyli jeszcze innemi słowy: albo chwalicie — wtedy pokazujecie kulturę krytyczną, albo ganicie — wtedy jesteście kołtunami! — wie Pani! Nam ten Gide znowu tak bardzo nie imponuje. W ocenie jego poglądów etycznych i socjalnych jesteśmy zgodni z sądami Massisa (Jugements) i Daniela Ropsa (Notre inquiétude) na tę sprawę, czyli uważamy, że w tej dziedzinie Gide dla nas autorytetu stanowić nie może, nie odmawiając mu nieprzeciętnych walorów artystyczno-literackich.

Z Gide'em wybrała się Pani podwójnie niefortunnie, dając do poznania, że stąpa Pani jego śladami. Gide'a główny dorobek literacki — to poważna ilość powieści artystycznie wykończonych, a nie te przygodne reportażyki, będące materjałem dla jego właściwej twórczości artystycznej. Przecież o tem Pani wie i wiedziała doskonale! Więc naco ten cały rozdział o „nieczystej literaturze“? Koniecznie znowu sensacyjka, hałas? Przypuszczam, że same reportaże Pani dostarczyłyby dość substratu dla wszczęcia hałasu. Przypuszczam, że zasadniczy swój cel Pani osiągnie: pisać będą o tej książce głównie zdecydowani zwolennicy Pani poglądów, których nie urażą urągliwe słowa ostatniego rozdziału. Ale czy to będzie dla Pani pełną satysfakcją?

*) Irena Krzywicka: Sąd idzie. Z przedmową Mieczysława Ettingera. Rój. 1935. Warszawa, str. 220.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

BONNIERES De L.: Wstań i chodź. Luźne kartki z dziejów łask Marji w Loudes. Tłum. M. Pruszyńska. 8° str. 271. Kraków 1934. Wyd. Ks. Jez. Zł. 2.20.

BOUKOŁOWSKA E. i KOTARBIŃSKI M.: Ćwiczenia z zakresu geografji i przyrody. Cz. I z 16 rys. 8° str. 96. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.90.

COURTHS-MAHLER J.: Zbrodnia w zamku Treuenfels (Griseldis). Powieść. Przekład Eug. Solskiej. 8° str. 253. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zł. 6.00.

DEOTYMA: Panienka z okienka. Starodawny romansik. Wyd. IV. Okładka i rysunki A. Gawińskiego. 8° str. 254. Warszawa 1935. Dom Książki Polskiej. Zł. 3.80.

HEDEMANN O.: Dzisna i Druja. Magdeburskie miasta z planem. 8° str. 486. Wilno 1934. Księg. Św. Wojciecha. Zł. 8.50.

KANRÓWNA M.: Leśne czary. Z ryc. 8° str. 80. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 0.90.

LANGROD J. S.: 3 lata samorządu Krakowa 1931 — 1933, na tle teorji prawa administracyjnego. Fakty i konkluzje. 8° str. 98. Kraków 1934. S. A. Krzyżanowski. Zł. 1.50.

MAŁECKI M.: Dwie gwary macedońskie. Suche i Wywka w Sołuńskiem. Cz. I, teksty. 8° XV str. 90. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 4.00.

POHOWSKA H. i WYSZNACKA M.: Śladami ojców. Czytanki historyczne. Cz. I, II. 8° str. 48, 59. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 0.80.

SOKOLICZ A.: Cysarskie cięcie. Powieść społeczna z lat przełomowych 1863 — 69. 8° str. 392. Warszawa 1935. „Rój“. Zł. 8.00.

SZCZERBA T.: Nauczanie podstaw gramatyki języka polskiego w szkołach powszechnych. 8° str. 96. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.90.

UŁASZYN H. Prof.: Jan Baudouin de Courtenay. Charakterystyka ogólna uczonego i człowieka 1845 — 1929. 8° str. 43. Poznań 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.20.

Ustawa o podatku dochodowym oraz o podatku przemysłowym. Dziennik Urz. R. P. Nr. 76. 1934. Teksty jednolite. 8° str. 98. Lwów 1935. Dr. M. Bodek. Zł. 1.40.

WERNEROWA J.: Poznawajmy przyrodę. Książka dla nauczycieli. Próba realizacji programu nauki o przyrodzie w kl. II szkoły powsz. z 6 rys. 8° str. 55. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 0.80.

WIĄCEK ST., WIWCZARUK A., KARPOWICZ A.: Praca w klasie pierwszej szkoły powszechnej. Przewodnik metodyczny dla nauczycieli szkół powszechnych. 8° str. 271. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 5.00.

WIĄCEK ST., WIWCZARUK A., KARPOWICZ A.: Praca w klasie II szkoły powszechnej. Przewodnik metodyczny dla nauczycieli szkół powszechnych. 8° str. 327. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 5.00.

WITEK J. i MOŚCICKI M.: Ogródek szkolny w nauce i wychowaniu I. 8° str. 71. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.90.

WOJNAROWICZ F.: Nauczanie robót z drzewa. Cz. III. Kurs wyższy. Z rys. i fotograf. 8° str. 206. Warszawa 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 8.00.

NAUCZ CZYTAĆ ANALFABETĘ

Pod tem hasłem zrzeszenia społeczne organizują Miesiąc walki z analfabetyzmem. Wskazówki w Polskiej Macierzy Szkolnej, Warszawa, Krakowskie Przedmieście nr. 7.

Adolf Nowaczyński

Afera Hauptmanna

Ciężką i nieprzyjemną jest już w tym roku dola niemieckich pisarzy i artystów, którzy znaleźli się półtora roku temu z musu poza granicami Niemiec, ale równie trudną i nieprzyjemną dola tych, co zostali wewnątrz i związani byli licznymi węzłami z epoką minioną.

Weźmy pod uwagę najpierw tych co są e g z o, co są e x t r a m u r o s. Już się kończą i fundusze i sympatje dla wielkich banitów, emigrantów i emigrandów. Główne c a p u t a s y l u m Paryż zaczyna mieć ich dosyć i lada chwila przed pierwszą rewolucyjną konwulsją wywomituje cały ten ładunek niestrawnych przysmaków i rarytasów. To samo Holandja (Amsterdam), Szwajcarja i Praga przeciążona do niemożliwości marksistowskim balastem. Jak sobie poradzą niektórzy wśród nich, to jest bezradni i bezbronni arjowie, to niewiadomo. Na początku śpiewali wszyscy za wysoko, za głośno i za grubo. Teraz przyjdzie śpiewać cieniej i ciszej. Wzorowo, lojalnie, jak gentleman, zachował się przez cały czas banicji świetny publicysta z „Berliner Tageblattu" dr. T. Wolff (Gdańszczanin).

Na drugim biegunie, bo nikczemnie i padalczo, jak Judasz i jak Azef, osławiony Bernhard, leader polityczny dawnej „Vossische Zeitung" i nasz zajadły, wścieklizną dyszący wróg (antygoyista). Bardzo stosunkowo spokojnie i taktownie znosili swój ciężki los bracia Zweigowie (żydzi) Arnold i Stefan, starając się jak najmniej wypowiadać politycznie i nie szkalować swej byłej (i przyszłej) bądź co bądź ojczyzny tak, jak ją szkalowali kanalja Bernhard i wstrętny Leopold Schwarzschild (D a s E n d e d e r I l l u s i o n e n). Natomiast skandalicznie dwaj bracia Mannowie (Aryjczycy, po matce Kreole), pożenieni z wiedeńskimi Izra - Elitkami. Ale jeżeli Tomasz Mann zachował jeszcze pewną pańską rezerwę i zimną krew, to młodszy Henryk („poeta") nadspodziewanie zdemaskował się (h a t s i c h e n t p u p p i), jako niesmaczny demagog, reklamista i poliszynel w ręku Kehilli (Sanhedrynu), tańczący i grający na flecie tak, jak mu każą. Tomaszowi Mannowi z wdzięczności za „wierną służbę" (Izraelowi), filmują obecnie jego beznadziejnie tandetną ramotę biblijną, specjalnie dla pokrzepienia serc Izraelskich, napisaną p. t. „Józef i jego bracia". Heinricha m a f f i a j u d a i c a nie wypuszcza z rąk i dyryguje każdą jego pretensjonalnie „proroczą" enuncjacją czy ekspektoracją. Jeszcze antypatrjotyczniej zachowali się początkowo tacy banicy, jak Feuchtwanger „Lion", ramociarz wyawansowany na „epika"... dalej osławiony Emil Ludwig (Cohn) lub J. Roth, bardzo zdolny i interesujący beletrysta po mieczu Niemiec, ale optujący za Izraelem i zaadoptowany bez reszty.

Kiedy Ludwigowi oddano spowrotem skonfiskowane fundusze, przestał grzecznie urągać na „zgleichszaltowane" i „totalne" państwo i siedzi cicho jak mysz pod miotłą. Tak samo uspokoił się conieco największy z „wielkich" Einstein, ostatnio tylko znów wypsnąwszy się z groźbą że noga jego nigdy w Niemczech („on nie powróci już"). Niektórzy pisarze żydowskiego pochodzenia związali się z berlińskim „Kulturbundem der Deutschen Juden" i tam pracują spokojnie, pozytywnie i twórczo, (swój dla swego) p a r e x e m p l e: Bab, Buber, G. Herrman Oppenheimer. Prezyduje temu Kulturbundowi sędziwy Lieberman, genialny grafik, wielki pan w sztuce i człowiek d i p r i m o c a r t e l l o. Mają swoją Operę, swój teatr, wystawiają swego „Jeremiasza" (Zweiga) i wszystko w porządku. W ostatnich miesiącach do tego teatru czysto — żydowsko - niemieckiego zagląda ją pono często - gęsto Sozi - Nazi... a jeszcze częściej na żydowskie Opery (nieżargonowe!).

Z innych dawnych sław i wielkości niemieckich zasługuje jeszcze na wyróżnienie dr. prof. Magnus Hirschfeld, patrjarcha Reformacji Seksualnej: ten założył specjalny Instytut Hormonoterapijny (I n s t i t u t d' H o r m o n o t h e r a p i e) 164 Bonlevard Hausmann; tamże sprzedaje pigułki nazwane „P e r l e s T i t u s", wzmacniające tężyznę i zaczepność męską...

Pewna grupa pisarzy na wygnaniu wydaje w Amsterdamie perjodyk S a m m l u n g. Znacznie podrzedniejsi ,a właściwie śmieciarnia osiadła w Pradze i zanieczyszcza tam powietrze całym szeregiem efemerydalnych szmat i szmatek także i obrazkowych, gdzie psioczą na Hitleryzm aż do schrypnięcia ale z coraz mniejszym rezonansem. Gdy w Pradze wyjdą z rządów marksiści, a nastaną normalni patrjoci, wymiotą ten najazd doszczętnie.

Po stronie dzisiejszego regimu w jego krytycznej chwili stanęli, bo stanąć musieli najważniejsi rdzenni pisarze i artyści, a więc Gerhard Hauptman, a więc Ryszard Strauss, a więc R. Dehmel (przyjaciel Przybysza), Keyserling, E. Strauss, Herman Stehr, wszyscy młodzi, z wielkich aktorów Bassermann, z kapelmistrzów Furtwaengler, skrzypek Fritz Kreisler, no, i z czasem reszta, to jest ci wszyscy, co w Niemczech zostali. Ale otóż właśnie i tych sytuacja nie jest bynajmniej do pozazdroszczenia. Przedewszystkiem z tej racji, że podobnie jak we Francji, jak w Italji, jak w Polsce, jak w Hiszpanji, jak w Skandynawji i w o g ó l e w s z ę d z i e kryzys książki i kryzys teatru przybrał zastraszające, ale całkiem przewidziane i normalne rozmiary. Komuniści w swoich emigracyjnych piśmidłach wrzeszczą, łżąc świadomie, że ten spadek frekwencji, uwiąd repertuaru, brak podaży na książki jest objawem tylko niemieckim...

Żydzi wyjechali..., to wszystko upada. Niema juda, to jest nuda. Oczywiście oszustwo, czyli szwindel i szacher. W Paryżu zebrały się ich krocie, a w teatrach myszy tańcują. Zmierzch jest wszędzie i arystokracja intelektualna (duchowa) upada wszędzie synchronicznie z wzrostem demokratyzacji i na to nawet żydy nic nie pomogą. Materjalnie jest tedy i w Niemczech pisarzom i artystom źle i coraz gorzej. Do tego dołącza się moc zagmatwań, komplikacyj i kolizyj życiowych, z których coraz trudniej wybrnąć. Kwestja żydowska tak góruje nad wszystkiem, że i w życiu publicznem i w prywatnem jest czynnikiem regulującym i rozstrzygającym, stwarzając moc tragicznych zawikłań i sytuacyj.

Weźmiemy tu sobie kilka przykładów ze samych szczytów.

Fall: Ryszard Strauss. Jako rdzenny Niemiec (syn skrzypka z Bayreuth), zmęczony do cna hegemonją żydowską w życiu muzycznem Niemiec, stanął odrazu po stronie Hitlera. Skutkiem tego syn Franz wnet musiał się z żoną Alicją (żydówką) rozwieść. Ale genjalny twórca „Elektry" i „Salome" był tysiącem węzłów związany z Izraelem. Już do przedostatniej opery „Arabelli" libretto było wzięte z poety Hugo von Hoffmansthala pół-żyda półwiedeńczyka. Wobec czego Arabella w Dreźnie wystawiona, trochę padła, a z zemsty nie wystawiła jej żadna scena zagraniczna, bo mafja pansemicka nie dopuściła. Do następnej opery wziął Ryszard Strauss libretto od Stefana Zweiga, wobec czego cała prasa Sozi - Nazich wszczęła wrzask i Strauss musiał operę już z prób cofnąć; za granicą też nigdzie nie poszła biedna mała „D i e S c h w e i g s a m e F r a u", bo znowu żydy nigdzie nie dopuściły.

I stało się z nimi to, co się stało z innymi artystami, hitleryzm aprobującymi: Basserman, grający nawet rolę generała w „Schlageterze", ponieważ ożeniony z Izra - Elitką, z teatru wystąpił i poszedł na tułaczkę. Fritz Kreiler, ponieważ w repertuarze skrzypcowym miał rzeczy żydowskie, więc nań z furją napadli i musiał emigrować. Na kapelmistrza Furtwaenglera nagonka dzika, bo grał Mendelsohna, gdy tymczasem równocześnie w Operze Berlińskiej nadal śpiewa izra - Elit Kipins, w Operze drugiej Rosa Raun, a nawet w samym Beureuth przed samym Hitlerem partję jednej z samych Walkirji śpiewała jednak Frida Leider, „tože jewrejka" (a rodzina Wagnerów dała na to konsens). No, i „S c h w e i g s a m e F r a u" jest nadal s c h w e i g s a m a cała Izra-Elita świata zaciera ręce ze Schadenfreudy, że Jehowa tak pokarał autora „Sowizdrzała", twórcę „Śmierci i Wyzwolenia" i tego, co dał Salome! Salome!...". Jeszcze tylko gdzieniegdzie dają „Cavaliera z Różą", o ile marszałkową śpiewa... Rosa... Chapiro...

Nie ma też „ułatwionego" dziś życia sędziwy Gerhardus Hauptmannus. Taksamo „taniec wśród mieczów". Najpierw wydał syna Benvenuta (sic!) za księżniczkę Schaumburg - Lippe. Już na imię Benvenuto brodate Germany mruczały i zgrzytały kłami mądrości. Udobruchali się marjażem z princessą i akcesem autora „Tkaczów", „Hanusi" i „Przed wschodem słońca" do wschodzącego słońca ze swastyką w środku. Ależ zaraz p o t e m patronat i kontrola każdego kroku, poczynania i gestu, a p r z e d t e m wściekła nagonka i ujadania tysiąca szrajbingełesów, szengeistów, wasserzugów z niejakim Kerrem i Grossmanem na czele. Paszkwil po paszkwilu. Odsądzanie od czci, wiary i wszystkich zasług. Krwotoków dostawali z furji rozmaici eksadoranci. I odrazu bojkot pansemicki, po którym, jak wiadomo, idzie automatycznie... sabotaż Arjów i Goyim.

Hauptman, oczywiście, przetrwał i ani drgnął, i ani na jedno wycie nie replikował. Ale wysłał telegram kondolencyjny po śmierci czy też przy jubileuszu (to to samo) poety (rodem żyda) Werfela Franza. I wtedy po prasie brodatych Teutonów przeszedł pierwszy nordycki pomruk i pfujrufy.

Teraz świeżo zachodzi taki wypadek. Umiera założyciel wspaniałej, solidnej, słynnie (bo wyjątkowo) rzetelnej i uczciwej firmy wydawniczej S. Fischer Verlag. Istniała lat 50. Wydawała najpoważniejsze pismo literackie „N e u e R u n d s c h a u" (dawniej „Freie Buhne") i dzieła kilkudziesięciu autorów kierunku naturalistyczno - realistycznego. Ostatnio prowadził firmę syn szwagra Fischera dr. Bermann i wydawał tylko... nordyków, usunąwszy nawet z ostatniego katalogu żydów, zbyt jaskrawych i politycznie czy socjalnie pronońsowanych. Hauptman był pierwszym asem literackim firmy, no, i co tu zatajać, zawdzięczał staremu patrjarsze Fischerowi bardzo wiele. Dodajmy tu jeszcze jako p l u s, że stary Fischer ani nie zmienił wyznania, ani nie poszedł do bezwyznaniaków (Marmorajnów). Pogrzeb był na żydowski cmentarz w Weissensee.

Hauptmann na pogrzeb poszedł i stał nad grobem starego, zacnego, dawnego stylu żydowskiego żyda Fischera z kapeluszem na głowie, co uwieczniły fotograficzne aparaty.

Germany oniemiały. Cymbrom i Cheruskom odebrało na chwilę mowę Jednemu Ostrogotowi krew z pianą puściła się z paszczy. Inny ogłuchł. Kilkunastogodzinna pauza w prasie. Były precedensy. W miasteczku Rintelen (Schamburg) na pogrzebie bardzo starego żydowina Lenzberga szli za trumną dowódcy oddziałów szturmowych i to w mundurach!... Wobec tego, co z tym fantem zrobić?... t o d t - s c h w e i g e n!... a przy okazji starego siedemdziesięciodwuletniego poetę zczesać i zjeździć potężnie... No, i w prasie zgleichszaltowanej potraktowano ten epizod bagatelizująco, przechodząc nad nim do porządku dziennego.

Cokolwiek ostrzej odniosło się pono tylko jedno pismo prowincjonalne, małoznaczące, ale tem się odznaczające, że współpracują tam Nordycy świeższego stempla, nie całkiem wyraźni ale za to bardzo fanatyczni, neofytofanatyczni.

Gerhard Hauptmann postąpił pięknie i szlachetnie. Wobec majestatu śmierci można sobie pozwolić na kilka godzin starodawnego... „humanitaryzmu". Spłacił dług wdzięczności i oddał hołd człowiekowi z gatunku takich, którzy się już więcej nie rodzą. Sędziwemu poecie należy się za ten akt cywilnej odwagi także hołd od tych, którzy go kochali za jego dzieła pisane, za jego twórczość. E c c e P o e t a!

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Ustrój sprawiedliwości narodowej

„Chłop, chodzący w średniowieczu w łapciach i świecący łuczywem, mógł się czuć zadowolony, o ile widział, że dostaje swój godziwy udział w ówczesnym szczupłym zapasie wytwarzanych dóbr. Robotnik, jeżdżący samochodem i korzystający z własnego domu, radja i łazienki, będzie zawsze rewolucjonistą, póki ustrój społeczny nie zapewni mu należnego za jego pracę udziału w dochodzie społecznym. Rozwiązanie problemu społecznego nie polega na wzmożeniu dobrobytu, lecz na wprowadzeniu godziwego ustroju".

Doboszyński — „Gospodarka Narodowa"

„W ustroju narodowym maszyna stanie się nie narzędziem koncentracji produkcji, lecz przeciwnie, środkiem pomocniczym w małych i średnich wytworniach, narzędziem uwłaszczenia mas".

Doboszyński — „Gospodarka Narodowa".

„Musi zniknąć typ „przedsiębiorstwa rolnego" o takich rozmiarach, które umożliwiają gospodarkę kapitalistyczną, t. zn. zarządzanie majątkiem za pośrednictwem najemnych administratorów, a bez osobistej pracy właściciela".

„Ustrój narodowy będzie zwalczał na śmierć i życie anonimowe formy zarówno władzy, jak i posiadania... Kapitalistyczna forma spółki akcyjnej (po francusku Société Anonyme) panuje dziś nad gospodarką, podobnie, jak loża panuje nad polityką".

„...ustawowe ograniczenie prawa do wystawiania i żyrowania weksli do przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, wykupujących patenty".

„Zniesienie bankowości prywatnej, jako pierwszy krok do reformy kredytu w myśl zasad chrześcijańskich, musi być naczelnem hasłem każdego ruchu narodowego".

„Giełdy pieniężne należy znieść".

„W rolnictwie powinien kredyt zupełnie zniknąć".

„Swoboda krążenia kapitałów należy do przeszłości, w jej braku system złota stracił rację bytu. Problem państwa o biernym bilansie płatniczym czeka obecnie na nowe rozwiązanie, którego w ramach złota już nie znajdzie. Waluta wskaźnikowa przyjdzie tu z pomocą".

„W ciągu jednego pokolenia każda rodzina w Polsce może dojść do własnego mieszkania — trzeba jedynie do tego jasnej doktryny społecznej, wolnej od naleciałości kapitalistyczno - socjalistycznych".

Doboszyński — „Gospodarka Narodowa".

„Własność prywatna ma swój właściwy sens tylko do pewnej granicy. Powyżej tej granicy, z chwilą, gdy trzeba już całego zespołu ludzi, by dane przedsiębiorstwo prowadzić, własność nabiera cech społecznych. kolektywnych, bez względu na to, czy istnieje jeszcze nominalny właściciel prywatny, czy też właścicielem oficjalnym jest zbiorowość".

Doboszyński — „Gospodarka Narodowa".

„Autorytetem, na którym się oprze (ta książka), będzie św. Tomasz z Akwinu, nietylko dlatego, że był wielkim myślicielem, ale przedewszystkiem dlatego, że był święty".

Doboszyński — „Gospodarka Narodowa".

Cytat rzeczywiście dużo, ale chyba nikt się na to nie będzie skarżył, bo te cytaty nie mogą znudzić. Wprost przeciwnie, robią wrażenie lektury sensacyjnej i właściwie bez mojego feljetonu mogłyby spełnić swoją rolę — to znaczy nakłonić każdego do przeczytania książki Adama Doboszyńskiego. Przynajmniej dla mnie była to lektura wstrząsająca.

Jest bowiem jakaś dziwna siła i tajemnica w tem, jak jednakowo, jak identycznie myśli młode pokolenie polskie bez względu na to, gdzie się wychowywało, a nawet przy jakiej z istniejących partyj politycznych tkwi. Jednakowy sposób myślenia ludzi wychowanych w niepodległej Polsce i jednakowe drogi, jakie widzą w przyszłości, to jest napewno koniec rozdarcia politycznego w przyszłości, a może i koniec partyjnictwa wogóle.

Przecież Doboszyński pisze o tem samem i w ten sam sposób, jak mówiło się w Warszawie przed pół rokiem.

Mało tego!

Czytając go, doznawałem dziwnego wrażenia: chwilami znajdowałem swoje własne, nieskrystalizowane i mętne jeszcze myśli, może nawet marzenia, ale już gotowe, ubrane w szatę chłodnego rozumowania ekonomicznego. Na tem polega znaczenie tej książki, że nietylko wskazuje zupełnie nowe drogi, ale wskazuje je zgodnie z psychiką i potrzebami pokolenia, dochodzącego w Polsce do głosu decydującego.

Książka jest rewolucyjna. I ze względu na treść zawartych w niej postulatów, i ze względu na nowy sposób rozumowania, na odmienny, nieekonomiczny punkt wyjścia i ze względu na układ nawet.

Profesorowie oficjalnej ekonomji powinni zakazać swym słuchaczom jej czytania. Pomimo bowiem pozorów szacunku dla nauki ekonomji, książka ta zadaje samej podstawie tej nauki i jej rozwojowi ohydne ciosy.

Bo czyż słyszane to w Polsce rzeczy, żeby autor książki ekonomicznej poświęcał pierwsze kilkadziesiąt stron na zapoznanie czytelnika z zasadami moralnemi Doktorów Kościoła, żeby tłumaczył, że procent jest szkodliwy sam w sobie, żeby cytował kodeks kanoniczny i to w dodatku dla dowiedzenia, że doktryna kościelna stała wyżej w trzynastym niż w dwudziestym wieku? Żeby zysk uważał za coś zdrożnego i nazywał go „ideałem niemoralnym?" Żeby śmiał jednocześnie udowadniać szkodliwość i kapitalizmu i kolektywizmu, przeciwstawiając im gospodarkę opartą na religji, patrjotyzmie, sprawiedliwości i innych nieekonomicznych pojęciach? Żeby zaprzeczał istnieniu „homo oeconomicus", żeby monopol nazywał zmową, kartel oszustwem i żądał unicestwienia renty zieńskiej?

I żeby jeszcze w dodatku mieszał w to wszystko żydów, „człowieka aryjskiego" i etykę chrześcijańską? I żeby ubliżał wielkiemu przemysłowi, nazywając go przejściową formę gospodarczą? A ten styl! Zdaje się facetowi, że feljeton pisze, czy co? Wstawia jakieś dyskusje między św. Tomaszem a ekonomistą współczesnym, robi porównania—sportowe. (— Słyszał pan coś podobnego, panie dyrektorze? — Nie, panie profesorze, niech pan pokaże to, to... wydawnictwo):

„Mecz piłki nożnej stanowi przyjemność i dla grających i dla patrzących pod warunkiem, że się odbywa zgodnie z regulaminem zawodów. Gdy dyscyplina sportowa na chwilę się rozluźni, zajeżdża karetka pogotowia i wywozi zmasakrowanych graczy. Liberalizm chciał się obejść w rozgrywkach gospodarczych bez klubów, sędziów i przepisów gry. Dlatego zbankrutował. My uważamy, że życie gospodarcze wymaga niemniejszego stopnia organizacji, niż życie sportowe".

(— A pan czytał, panie prezesie, o pańszczyźnie? — Nie, panie referendarzu, pan pozwoli... tego demagoga).

„...dwukrotnie w ciągu naszych dziejów mniejwięcej godziwy ustrój rolny przemieniał się w katorgę dla chłopa. Działo się to w wiekach X — XII i w wiekach XVI — XVIII. W naszych oczach dzieje się to samo po raz trzeci... Nowoczesna pańszczyzna, oparta na podatkach, lichwie i zyskach monopolowych, dąży do ujarzmienia wsi na rzecz miasta, a chłopa i ziemianina na rzecz sfory pośredników, spekulantów kapitalistycznych i biurokracji".

(— Mówię panu, panie nadrabinie, że to zwykła huliganerja, on się powoływa na Rolickiego, pozatem, niech pan posłucha).

„Naród kupców wmówił ci, że praca fizyczna jest przekleństwem, a godna człowieka jest tylko praca głowy — tej głowy, która się obraca podobno sama w stronę, z której wietrzy największy zysk. Czy twoja głowa się tak obraca?"

Książka Doboszyńskiego jest antykapitalistyczna. Wyraźnie i bez osłonek. Autor nie zasłania się opowiadaniem o „gospodarce wielkokapitalistycznej" czy też „hiperkapitaliźmie" — wyraźnie bije wprost w cały kapitalizm, w jego etykę, kulturę i doktrynę i to zarówno w kapitalizm prywatny jak i państwowy.

Człowiekowi wychowanemu na gotowych preparatach duchowych kapitalizmu może wydać się dziwne, że radykalny program tworzy Doboszyński w oparciu o naukę Kościoła. Ale człowiek myślący samodzielnie wie, że nauka Kościoła jest bardzo radykalna w kwestjach sprawiedliwości socjalnej i nie zdziwi go takie zdanie św. Tomasza:

„Wolno człowiekowi, znajdującemu się w skrajnej potrzebie, wziąć czy to jawnie, czy skrycie to, co inni mają w nadmiarze".

Z oczywistością bijącą w oczy wyłania się z „Gospodarki Narodowej" jedna prawda: Że zdrowe gospodarstwo nie może być oparte na fundamencie ekonomji, tylko na fundamencie moralności objawionej: że tylko w takiem gospodarstwie nie będzie katastrof i kryzysów, nędzy i wyzysku, bezrobocia i nadprodukcji, a także nie będzie — niewolnictwa.

Dla ludzi lubiących formułki mogę podać, że książka Doboszyńskiego jest: katolicka, nacjonalistyczna, rewolucyjna, antykapitalistyczna, dystrybucjonistyczna, antykolektywistyczna, antyindywidualistyczna, antymaszynistyczna, rasistyczna, wolnościowa, drobnomieszczańska, ludowcowa, antyindustrjalistyczna, korporacjonistyczna, socjalizacyjna i idealistyczna. Natomiast dla ludzi pozbawionych przesądów mówię, że jest naprawdę polska.

Z kim porównywać Doboszyńskiego, żeby dać pojęcie, jaki jest jego „genre"? Chyba tylko z Sombartem. Ale Doboszyński ma większe zdolności pisarskie...

(Nawiasem mówiąc, najbliższy obowiązek Doboszyńskiego, to przetłumaczenie na polski obu Summ św. Tomasza, zanim powróci moda czytania po łacinie).

Uwaga zasadnicza: „Gospodarka Narodowa" składa się z dwóch części: krótszej — teoretycznej i dłuższej p. n. „Narodowy ustrój gospodarczy w Polsce". Otóż czytelnik niecierpliwy, a tacy jesteśmy dziś prawie wszyscy, powinien zaczynać czytanie od drugiej części, tam, gdzie rozdział o uwłaszczeniu mas i następne.

Potem, pochłonąwszy w parę godzin program, przeczyta z zapałem część pierwszą, podstawową.

— Czy czytał pan książkę Doboszyńskiego, panie bezrobotny? — Naturalnie, kolego bezrobotny, wszyscy ją czytamy).

„Uzdrowienie gospodarcze Polski, możliwe tylko zgodnie z zasadami moralności chrześcijańskiej i przy uwzględnieniu szczególnych potrzeb naszego Narodu, nie da się przeprowadzić bez równoczesnego wyzwolenia od politycznych i intelektualnych wpływów żydostwa... Katastrofa gospodarcza, którą przeżywamy ma swoje złe i dobre strony. Polak, kiedy jest głodny, staje się zły. Niejeden dopiero wtedy zaczyna myśleć".

Doboszyński — „Gospodarka Narodowa".

„Wolę sprawiedliwy ustrój na stopie życiowej ośmnastego wieku — od stosunków we współczesnej Polsce. Nie podoba mi się, że pan Berlinerblum jeździ Rolls - Royce'm model 1934, podczas gdy polski chłop gotuje się w chałupie model 1776 do rewolucji model 19..?".

Doboszyński — „Gospodarka Narodowa".

Marja L. Krüger

Odwiedziny

Weronika— pęknięciem szklanki swoich zaprosiła. U Soboltowskich — świeca przez pół się złamała — Juruś się przypomina— powiedzieli. Na Krochmalnej, u Bolków — hukanie takie w nocy było, jakby kto garnki zrzucał — i zaraz wiedzieli że to stary, Bolkowy ojciec o odwiedziny się prosi.

Leokadja zachwianiem się płomienia lampki — znak dała, Stasieńka trzy razy ojcu zapałkę gasiła, Stefcia puknięciem w szybę swoich wołała.

U Feliszczaków — cieniem coś po ścianie przeszło — o Jezu — Mietka wspomnieli. A Władek po starem mieszkaniu swoich szukał i nie znalazł. Wiatrem zimnym wionął, w kominie jęknął.

A potem nazad wracali. Poprzez ściany, poprzez mury, przez zamknięte drzwi i okna — nawskroś. I dalej — powietrzem ich niosło. Nad ulicami, dachami, kamienicami, nad drutami tramwajów i szynami, i nad drzewami, polami, nad wodą. Mgłą i parą lecieli.

Weronika — w powietrzu leciała na wznak leżąca, w popielatej sukni jedwabnej, z rękami złożonemi.

Jurusia — jakby stojącego niosło, bo trzewiczki miał na nóżkach grube, skórzane, ciężkie, co go do ziemi przyciągały.

Stary, od Bolków — na bok leżący frunął, — a to dlatego że mu ten klucz, co go z kieszeni czarnego, odświętnego garnituru wyjąć zapomnieli — ciężył.

Za Leokadją — różaniec, co go w skrzyżowane ręce wpleciony miała, paciorkami grzechotał, krzyżykiem błyskał. Stasieńce w tył głowę odciągały warkocze białą, atłasową wstążką wiązane, Stefcia główeńką zupełnie na dół leciała, bo taki ciężki był ten pęczuszek kwiatków parafinowych, co przywiązany miała na czole.

Tylko Mietek najróżniej leciał, najróżniej go niosło, jakby wiatr nim miotał. A zaraz za nim, lewym bokiem do ziemi odwrócony — Władek z kulą w sercu.

Lecieli tak, lecieli nad miastem i za miastem, aż do bramy przypadli.

Nad nią ich przeniosło — i między drzewa, pomniki i krzyże jakby się rozpłynęli.

Weronika pod równiutko odarniowany grób się zapadła, fotografją zamkniętą w blaszanem pudle w kształcie serca, z szybką i wieńcem konwaljowym otoczoną się stała. Z pociągłą twarzą, na wałek czesana, z wysokim kołnierzykiem — Weronika, co przeżyła lat trzydzieści jeden.

Juruś, od głównej alei zaraz w bok obłoczkiem przez krzyże i drzewa przeleciał i w posąg się obrócił. Na głazach, na skale figurką stanął pomalowaną, w marynarskiem ubraniu, jedną rączką wsparty o biały pień brzozowy, a w drugiej rączce kwiatki. Pod stópkami, przy skale — gołąbek biały z gałązką zieloną w dziobku.

Stary, Bolkowy ojciec, przezroczystą postacią do połamanych sztachet co grób otaczają przypadł, zaszamotał niemi i jeszcze więcej zwalił. A potem gniewnie liście na mogile leżące rozrzucił i w ziemię nagrobną wsiąknął. I tak się potem jeszcze obrócił, aż się kopczyk poruszył, a krzyż prawie że przewrócił.

O trzy aleje dalej — Leokadja z rękami przed siebie wyciągniętemi, nad świeżo usypaną mogiłą się unosiła, a palcami z mgły, szarfy pozostałych jeszcze z pogrzebu wieńców przebierała. I tak do nich coraz bardziej się pochylała, aż z westchnieniem ciężkiem mgła na te szarfy i blaszane wieńce się położyła.

Stasieńka wolno, wolniuśko ku swojej mogiłce powietrzem płynęła. Przeciw sile co ją niosła, jakby się opierając — głowę ku miastu zwracała. Aż ją dopiero wiatr jakiś pchnął, a długie warkocze naokoło pomnika się okręciły. Potem, coraz przezroczystsza się robiła, aż wkońcu zupełnie już nie było jej widać, a czarne warkocze — bluszczem się stały.

Między mogiłami, jakby oparem turlała się Stefcia malusieńka. Nad swoim grobkiem długo się i bezradnie to wznosiła, to po sztachetach czepiała. Ułożyć się nie mogła i płakała cieniutkiem, niemowlęcem zawodzeniem. Wreszcie natrafiła na tę swoją kapliczkę i zaraz obłoczkiem pary na szybce osiadła Za chwilę — tę parę jakby ręką starł, a w środku, w kapliczce, na fotogafji. otoczonej wianuszkiem wielkich, blaszanych niezapominajek — widać było Stefcię leżącą w trumience. W białej sukience, tej od chrztu i z pęczkiem kwiatków, przywiązanych na główce bez włosków, wstążką nad czołem.

Mietek znów — to tu, to tam — między drzewami, nad ziemią — cieniem się włóczył od grobu do grobu. Tak szukał swojego. I czarnym cieniem ręki po nagrobnych napisach wodził. To nie tu, i nie tu. Na tablice i blachy czarnemi dołami patrzał, na różne nazwiska, a swojego nie widział. Aż dopiero trafił na tę swoją mogiłę bez znaku, bez blachy — tylko tyle że z krzyżem. I na jego ramionach swoje piszczele rozłożył, a czarne, przegniłe żebra rozplotły się w ozdoby żelaznego krzyża.

Obok — brzęknęła o kamień kula we Władkowem sercu — kiedy na płytę grobową na wznak padł i przez nią w ziemię się przesączył.

A rano, ci z miasta w odwiedziny, w gościnę zjeżdżać zaczęli. Odświętni, postrojeni. Z kwiatami, z podarunkami przez bramę się tłoczyli, po alejach głośno tupali. Każdy do swoich szedł.

U Weroniki w gościnie — mąż i dwoje dzieci. Grób naokoło obmietli — cztery doniczki astrów żółtych, zimowych, po rogach ustawili. Potem na ławeczce przysiedli — mąż przeczytał co na pomniku pisane było:

O Weroniko, droga moja żono,
Tęschno do ciebie i smutno na [świecie
Żyłaś tak krótko żono ukochana
Cierpiałaś tak wiele i poszłaś do [Pana.

Tak tym wierszem do niej mówił.

Od Soboltowskich do Jurusia przyszli — ojciec, matka, siostra Irenka i ciotka. Wszystko czyściutko oporządzili, grób gałgankiem wilgotnym obmyli, a przed grobem piaskiem żółtym wysypali i gałązki świerkowe ułożyli. Ciotka wianuszek z czerwonego wrzosu na grobie położyła, a w środku wianuszka — świeca zapalona. I tak czekali aż się ta świeca wypali i mówili o tem, że chyba wezmą ten sklep na Białołęckiej.

Bolkowie, jak przyszli, to się aż za głowę brali, że te sztachety takie połamane i grób taki zaniedbany. Liście odgarnęli i cały grób szalwią, co ją przed bramą wytargowali — obsadzili. Potem podleli, żeby się długo trzymała. Jako tako to wyglądało, tylko że najgorzej było z krzyżem co próchniał, i z blachą — że zardzewiała i tylko można było przeczytać te wyrazy:... a tyś szczęśliwy boś w niebie.

I tak sobie o starym pomyśleli.

A potem Bolek palto i marynarkę zdjął, bo było ciepło i żółtą farbą, co ją z domu przyniósł — krzyż pomalował.

Na Leokadji świeżej mogile — w czarnym welonie córka Konstancja ze swoim mężem przyklękła. Spłakała się i te szarfy od wieńców rozkładała, żeby się nie zajęły od zapalonych lampek, w krzyż ustawionych. O pomniku mówili z kamieniarzem. Że będzie taki: na podstawie z kamienia krzyż, a pod nim serce z kotwicą. I napis na tem sercu się da. Ogrodzić — też konieczne. Tylko nie tak, jak ten sąsiedni, co to kamieniarz się naśmiewał, że słupki nieboszczykowi na brzuchu postawili. Więc szeroko się ogrodzi. I na tem stanęło.

Otarła sieroce łzy córka Konstancja i do młodego, przystojnego kamieniarza, co na wino do Alkazaru prosił — uśmiechnęła się. I zaraz, razem z mężem jeszcze przyklęknęli, przeżegnali się, westchnęli i poszli z kamieniarzem.

Stasieńkę ojciec z Sewerynem odwiedzili. Czarne gałązki bluszczu kawałkami białej rafji przywiązali, tak żeby wierszy nie zasłaniały.

Poszłaś córko ukochana tak daleko [poza światy
Ja codzień na twej mogile łzami [podlewam kwiaty.

Ojciec przez okulary w drucianej oprawie przeczytał to, poruszając wargami. I tak smutnym wierszem wyrzut Stasieńce robił, że ich opuściła. Powtarzał go potem z pamięci, kiedy pilnował, jak malarz na świeżo malował ten blaszany wianek, zeszłoroczny wianek z róż. Róże teraz miały być różowe, a przy nich dębowe liście — na srebrno. Sewer znów, przez czas malowania — krzyż z kasztanów na Stasinym grobie ułożył. I tak się wszystko ładnie udało — i krzyż i wieniec, że odeszli uśmiechnięci.

Do Stefci — matka z chrzestną z samego rana przyjechały i siedziały do popołudnia. Zaraz kapliczkę roztworzyły, szybkę wymyły, w środku oporządziły, niezapominajkowy wianek okurzyły. Matka za szybką firaneczki białe, z nowych odcięte, zawiesiła. Chrzestna postawiła pod fotografją baranka złotego, a po bokach dwie małe doniczki z robionemi hiacyntami. Na samym grobku— osiem lampek w gwiazdę postawionych paliło się i skwierczało. Od nich światło padało na kapliczkę Stefciną, która wyglądała teraz ładnie i wesoło.

Mietka — to siostra z bratową, chyba z godzinę szukały i w żaden sposób znaleźć nie mogły. Aż wreszcie na grobie krzyż żelazny, czarny, na ażur robiony poznały i zaraz do niego drutem przywiązały tę blachę, co z sobą przyniosły. Blacha była od dołu i od góry zwijana, jak laurka i biało malowana. Na niej czarnemi literami napisane:

Cicho gałęzie, nie szumcie
Naszego brata nie budźcie
Bo już zasnął wiecznym snem,
Leży pod krzyżem tem.

Pod tem było imię i nazwisko. I tak to wszystko porządnie wyglądało i widać było odrazu czyj to jest grób, że siostra wcale Mietkowi tych ośmiu złotych co za laurkę zapłaciła już nie żałowała.

A Władek, co z kulą w sercu w zimnym grobie leżał — żadnych odwiedzin nie czekał, kiedy ktoś imieniem zawołał go po cichu. Wołała brzydka dziewczyna, Karola dziobata, co nigdy za życia Władka na oczy nie widziała. W żałobie przyszła, szukać między umarłymi kochanka, co go wśród żyjących nie miała. Nad Władczyną mogiłą nieprzystrojoną się zatrzymała, chłopca pożałowała, co w dwudziestym czwartym roku życia od kuli morderczej zginął.

I już teraz był jej. Wianek, świerkowy, pachnący położyła na grobie i dwie świece białe, duże, jak przy ślubie zapaliła. Z Władkiem gadała. Opłakiwała go i żałowała i cieszyła się razem. Jakże ją kochał, jakże kochał, kiedy był żyjący. A teraz jest w mogile, a ona po nim wdowa. I zaraz na ludzi, co przechodzili, popatrzała — czy widzą, że swojego mężczyznę opłakuje. I tak klęczała dumna i szczęśliwa i rozpaczająca.

Aż się świece wypaliły. Potem — podniosła się, z serca go jeszcze żegnała, obiecywała, że wróci, twarz łzami zalaną otarła i szła ku bramie.

Obok szedł cieniem Władek. Odprowadzał dziobatą — jemu, umarłemu kochankę.

W alejach ścisk był i narodu moc. Wszyscy do bramy, do wyjścia szli, bo już robiło się ciemno. I Karola zobaczyła, że w tym całym tłoku potrącają ją tylko z prawej strony. Po lewej omijali ją tak, jakby przy niej ktoś szedł — chociaż nikogo nie było widać.

A na ulicy było już zupełnie zwyczajnie.

L. Całkosińska

Bohater

Co to za szczęście dla J. B. Priestley'a [1]), że nie urodził się Irlandczykiem! Jedynie przysłowiona flegma angielska uchroniła „B o h a t e r a" od tak gorących objawów zainteresowania, z jakiemi spotkał się przed laty w Irlandji: generał John Regan (G. Birmingham [2]). Jedynie chyba tradycja bezlitosnej kary Rotmy Hogartha, satyry Swifta, obyczajowej szkoły Thackerayów, w której mocno bito rózgą szyderstwa, pozwoliły Priestley'owi uniknąć przykrych konsekwencyj. Może się ich nawet spodziewał, wskazywałaby na to lakoniczna przedmowa. Jedno jest prawie pewne, w Polsce nie uszłaby tu ta satyra płazem; na równi z Irlandczykami nie lubimy drwiny. Ale prasa angielska, cel pocisków Prestley'a — nie pogwałciła międzynarodowego savoir vivre'u, ośmieszona — śmieje się. J. B. Priestley „zabawiacz tłumów" (jak sam się chętnie nazywa) chodzi bezkarnie i bezpiecznie po świecie! „Bohater" uniknął autodafe! Czytelnicy bawią się doskonale treścią i wszystko jest w porządku.

Okładkę „Bohatera" powinna przecinać jaskrawa reklama w stylu afiszów Denky Doos:

„Niechże to sobie raz wszyscy powiedzą!
Najnowsza powieść dnia pojutrzejszego!
Niebywała Historja Bohatera (który Nim nie był) i Prawdziwego choć nie Aktualnego Heroja.
Szczególne podziękowania ze strony Pp. Dziennikarzy i Reporterów.
Żart i Śmiech.
Czytajcie! Czytajcie! Czytajcie!"

Tej kapitalnej satyry komicznej streścić nie można. Podać fabułę, to tyle, co pokazywać wyblakły echantillon wspaniałej materji. Cóż z tego że opiszę perypetje Charlie Hobble, abonenta „Trybuny Codziennej", prowincjonalnego rzemieślnika, wyniesionego przez wszechwładną reklamę do godności bohatera narodowego. Nie będę w stanie oddać nawet w przybliżeniu humoru — ironji — zręczności, z jaką autor między dwoma uśmiechami daje ciosy. Priestley używa w całej pełni! Śmieje się, kpi, płata figle, cziczeronuje Hobblowi w wędrówkach po Londynie, luksusowych hotelach i redakcjach. Całe pozakulisowe życie sensacyjno - codzienno - ilustrowanych kurjerków. Cała technika reklamy i aktualności przesuwa się przed oczyma czytelników. Charlie Hobble nagrodzony. Charlie stały abonent „T r y b u n y C o d z i e n n e j" filmowej, wygłaszający w aktualnościach filmowych podsunięte mu speach'e.

— Tak, od lat jestem pilnym czytelnikiem Trybuny. Śmiem twierdzić, że nie to pomogło do wypełnienia (jakikolwiekby był) obowiązku dobrego Anglika. Przypuszczam, że to samo powiedzieli by nasi wszyscy czytelnicy; to doskonały pretekst do wypowiedzenia przykrych prawd pod adresem prasy.

Przykrych, dowcipnych prawd!, lecz nie jadowitych. Strzały Priestley'a — choć ranią, — nie są zatrute, rany po nich nie ropią. Ktoś inny, Thackeray, uczyniłby z Hobbla głupca wystawionego na szyderstwo; wywyższonego i spodlonego wywyższeniem. Dickens, — ofiarę reklamy i wyzysku. Optymista Priestley pozwala Hobblowi wytrwać. To prawda, ta sama prasa, która uczyniła zeń bohatera aktualności, osypała (świadoma sługębnej famy) darami, odrzuca go po dwóch tygodniach do kosza z odpadkami. Jej miarodajność tkwi w tem, że bez skrupułów deprawuje bohatera chwili, wyrywając go z normalnego biegu życia, jego rzecz czy będzie umiał, zakosztowawszy sławy, powrócić do dawnych warunków. Ale odpowiedzialność za to spoczywa w części na nienasyconej, chciwej emocyj publiczności.

Niechże się dzielą winą! Szczęściem Charlie Hobble ma więcej rozsądku od innych wielkości, akurat tyle, ile powinien mieć przedstawiciel opiewanego przez Priestley'a średniego stanu. Dzięki temu Charlie wychodzi z opresji nietylko cało, lecz i z honorem. Bo trzeba państwu wiedzieć, że to nie on był bohaterem. Nie on przeciął przewody elektryczne wiodące do materjałów wybuchowych, nie on uratował fabrykę i miasto. Bohaterem jest zbieg, agitator komunistyczny Kibworth.

Mizantrop kazałby Hobblowi schować w milczeniu nagrodę, uzyskaną od „Trybuny". Ale Priestley wierzy w człowieka. Nieaktualny już Hobble zaczyna swą drugą wędrówkę w celu zrehabilitowania Kibwortha i siebie. Nie udaje się ta akcja. Wyrzucony za drzwi z redakcji (Nie mamy już zapotrzebowania na bohaterów. Bohaterstwo jest już nieaktualne, odłożyliśmy je ad acta) asystuje procesowi komunisty (Anglja jest wolnym krajem i nie chcemy, by w czemkolwiek przypominała Rosję... Proszę, by oskarżony zrozumiał. Nie skazujemy go za przekonania polityczne. Żyjemy w wolnym kraju i każdy może mieć przekonania takie, jakie mu odpowiadają. — Skazujemy, ponieważ przestrzegany i raz już skazany, usiłujecie działać w sposób zagrażający spokojowi)...

O, praworządny i lojalny obywatel Priestley ani przez chwilę nie lęka się posądzenia o niepaństwowe zapatrywania; piętnować obłudę jest jego prawem, prawem uświęconym tradycją powieści angielskiej.

Fun is good, truth is still better, and love best of all — powiedział Thackeray, a i Hobble jest widocznie tego zdania, bo ostatecznie zaręcza się z Idą Cheswick — premjowaną pięknością, podobnie jak on nieaktualną. Wracają na prowincję, pewni jednego: żadnych złudzeń w stosunku do „swej gazety"!

Ileż życia, werwy i humoru w tej powieści. Spróbujcie komu wytłumaczyć, że autor nie jest tu na swym gruncie. Spróbujcie udowodnić, że to nie on, nie Priestley we własnej osobie wciela się w wesołka i kpiarza Huhgsona.(Nie jako dziennikarz, lecz benjaminek matki swej, proszę pana o odpowiedź, nie bohatera, zbawcy tysięcy ludzi, Anglika, wypełniającego obowiązek, lecz ludzką istotę, „jedyną radość swego ojca", czy rzeczywiście zrobił pan to wszystko tam w Utterton?... Nie? Akurat tak myślałem. Dziennik nasz byłby w złej passie, gdyby musiał poprzestawać na prawdziwych wiadomościach. Dobrze! Widać żeśmy jeszcze nie upadli).

Nic to nie pomoże, że nam ktoś tłumaczy, iż Priestley, eks-student, eks - kombatant, eks - dziennikarz — wreszcie znany krytyk i pisarz, tworzy swe fikcje, siedząc za londyńskiem biurkiem. W każdej z nich, pulsującej życiem, odnajdujemy jego samego. Możnaby powtórzyć zdanie krytyka Hunta, piszącego o Dickensie: „Cóż to za zdumiewające zjawisko: swą duszą i życiem mógłby obdzielić pięćdziesięciu ludzi". Czem i kim nie był Priestley? Tragicznym bohaterem „N o c y", I n i g o J o l l i f a n t'e m, niepoprawnem enfant terrible, wesołym wagabundą i towarzyszem „D o b r y c h k o m p a n ó w".

Wbrew biografom i faktom, my, czytelnicy, wiemy o nim więcej od innych. Może nie zatrzymywał się w hotelikach i oberżach Lancashire? Nie grywał to w barach Nottingham'u? Nie szalał i nie płatał figli? Może to nie on sprzedawał po jarmarkach, wraz poczciwcem Oakroydem gumowe zabawki? Ach, na skórze niedźwiedziej nie spisać jego sprawek, znajomości i pomysłów. Wrócił z niemi do bezimiennej rzeszy czytelników, zaludnił wyobraźnię żywemi, pełnemi charakteru postaciami. Wielki mózg i zaklinacz, za którego wolą słyszymy w rytmie słów melodje piosenek, widzimy szaleńcze pas tancerza Jerminhama, nawet czujemy posmak kurzu, unoszącego się z desek sceny. No, bo proszę — czy może kto zaprzeczyć, by tego kurzu — nawet na wzorowej scenie pani Waydowej — nie było?

Taki jest J. B. Priestley. Szczodry, hojny, pełen ekspansji i uczucia — zmusza nas do udziału w akcji. Oczy, uszy, serce, cały człowiek angażuje się w jego historjach. Ale też tkwi w nich on sam — optymistyczny, rozrzutny, szczery Priestley i to czyni jego powieści bezcennemi.

Może to wyda się paradoksem, gdy powiem, że Priestley powinien mieć zwolenników raczej w cudzoziemcach — niż w Anglikach. To trudno! My, patrzący na narody przez pryzmat literatury, chcemy Anglji J. Austena, Hardy ego, Dickensa. Wesoła stara Anglja nawiedza nasze wspomnienia, z szmaragdem murawy, szlakami dróg, wzywających do wędrówki, sentymentem i tkliwością uczciwych serc. Jeszcze nie przebrzmiała melodja rogów, jeszcze wabi. ogień kominków w oberżach, zapach baraniej ćwiartki obracającej się na rożnie — w oczekiwaniu na podróżnych. Jeszcze widma owczarzy Hardy'ego, rybaków z Yarmouth i wesołej kompanji Pickwicka błądzą szlakami wspomnień. I w brzęku dzwonków, gwarze głosów, dźwięku rogów ukazuje się dyliżans:

...„Naprzód z czterema świeżemi końmi za karczmę „J e l e ń b e z r o g ó w", gdzie pijący biesiadnicy zbierają się pełni podziwu przed wrotami, podczas gdy opuszczony zaprzęg z pozostawionemi lejcami idzie sobie swobodnie — pędzony wrzawą dwunastu gardzieli drobnej dziatwy, biegnącej dobrowolnie, by go sprowadzić na drogę — do sadzawki. Teraz stary most — wśród wykrzesanych iskier wydaje pod kopytami końskiemi odgłosy. I znowu znajdujemy się na cienistej drodze, za otwartą rogatką, dalej, coraz dalej, na wieś. Hurra!

Zaledwie można było odczuć piękno nocy, już dzień nadbiega żwawy. Hurra!... dwa przeprzęgi jeszcze, a drogi wiejskie zmienią się w równą ulicę. Hurra! Wśród zakrętów bez końca, w labiryncie ulic bez liczby, aż dotrze do starego, hotelowego dziedzińca. Hurra! Tom Pinch ogłuszony i odurzony wysiądzie w Londynie..."

Współcześni i najmłodsi intelektualiści tyle zadają sobie trudu, by pod kierunkiem W. Woolf odbarwić to, co wydaje się nam najcenniejsze: charakter narodowy. Taine powiedział kiedyś, że powieść obyczajowo-społeczna, wyhodowana i urodzona na gruncie angielskim, ma w Anglji największe szanse rozwoju. A Priestley pojąwszy, że „Anglja nie jest to ziemia i glina, — powietrze lasy i rzeka" — podaje nad głowami współczesnych — dłoń Książętom Literatury XIX wieku. Nie smućmy się — mówi— że dyliżans ustąpił autu, zieleń łąk pochłania fabryka. Gdzieś za zakrętem dróg czeka każdego z was przygoda — sprobójcie tylko. Ci których spotkacie — to nieśmiertelni — wnukowie Peggotych i Barkisów — prości, szorstcy — skryci, ale uczciwi — Anglicy. Ulepieni z tej samej gliny, są, żyją — oto oni z cnotami, przywarami i śmiesznostkami. Uśmiechnij się!

Keep smiling!

1) J. B. Priestley, autor znanych ogólnie „The good companions" i „Angel pavement".

2) W mieście irlandzkiem Westport publiczność dotknięta szyderstwem, zawartem w G e n e r a l e J. R e g a n i e, zburzyła lokal, w którym grano tę sztukę. Patrz A. Nowaczyński: „Szkice Literackie". Wyd. Ostoi.

S A T Y R A

Zygmunt Jurkowski

Feljeton pijacki

Dwa państwa

Niektórzy obywatele może nie zdają sobie sprawy z tego, że właściwie żyją w dwóch państwach, wrogich i niepodobnych do siebie tak, jak dzień do nocy. Mamy dwie Polski do bytowania, Polskę „trzeźwą" i Polskę „wstawioną". Pierwsza trwa przez wszystkie dni w tygodniu, od rana aż do wieczora. Jest to państwo znane nam dobrze z gazet, historji i geografji, brzemienne w podatki, szare, pesymistyczne i nawiedzane powodzią nudy.

Druga ojczyzna, „wstawiona", zaczyna się zwieczora i trwa aż do zamknięcia rozrywkowych lokali. Jest to kraj ufnych w swoją potęgę, zbratanych patrjotów, kraj „morowych facetów", „byczych chłopów", ofiarnych kobiet, słowem dzielnych obywateli, którzy kochają Polskę i płacą chętnie grube podatki.

— Za Polskę „wstawioną" oddam życie — jakby dziś mógł powiedzieć Hugo Kołłątaj — ale żyć w Polsce „trzeźwej", to mordęga. Toteż, gdy zmrok zapada „i światła latarń zapłoną", daje się wyczuwać w narodzie jakieś przyjemne i lube odprężenie. Na mocarstwowym horyzoncie drugiego państwa, zarysowuje się coraz wyraźniej wizja czystej z kropelkami i do tego sznycelek.

Urzędnicy zdejmują czarne „dziurochrony" z rękawów, wypuszczają powietrze z gumowych antyhemoroidalnych opon, na których cały dzień przesiedzieli i z godnością wychodzą z biurowych urzędów.

Sklepikarze zapuszczają na witryny żaluzje i odłożywszy z kasy pewną kwotę do bocznej kieszeni, majestatycznie opuszczają sklepy.

Oficerowie zagrzmiawszy gromkie „rrrozejść się" i doprowadziwszy z pomocą ordynansów buty do glansu, z subtelnym dźwiękiem ostróg wychodzą z koszar na miasto. Ministrowie, woźni, generalowie i introligatorzy, śpieszą zgłosić swą przynależność do drugiego państwa. Wszyscy zapowiadają żonom nagłe posiedzenia i sprawdzając zawartość swoich kieszeni, mruczą do siebie z zakłopotaniem.

Woźni: — Tfu! same drobniaki, ale dobre i to, na „setkę" wódki starczy.

Sklepikarze: — Coś słabiutko dziś z kasą, kilkanaście złotych zaledwie, no ale na kolacyjkę (panie dziejski) pójść można.

Urzędnicy: — Ach te świadczenia! Znów strącili z pensji, ale na bigosik jeszcze się coś wyskrobie.

Dyrektorzy: — Te pieniądze się tak rozłażą, że coś okropnego, zostało mi zaledwie paręset złotych w portflelu, i to ma mi wystarczyć do jutra, poprostu wstyd wyjść na ulicę. No ale trudno, muszę, umówiłem się w café'Y.

O północy nasza prastara i żyzna ziemica, przepasana błękitną wstęgą „czystej", mieni się szkliwem rozmaitem, zakropiona „kminkówką", posrebrzana „żytniówką", kwitnąca i płodna, rozbrzmiewa wesołym śmiechem swych dorodnych synów, którzy siadłszy za stołem, coctail barem, lub też zgoła szynkwasem, weselą się, miłują i są dla siebie uprzejmi i pełni poświęceń.

— Zgłoście się jutro do mnie do biura, mecenasie kochany, walcie prosto bez meldowania, załatwi się ten drobiazg...

— Stokrotne dzięki, dyrektorze złoty, bo tak mi ta sprawa leżała bardzo na sercu, kelner! Powtórzyć kolejkę!

— Prezesie drogi, prezesku, tak się trudno do was dodzwonić, ja jeszcze w sprawie tego Kuszpietowskiego...

— Zrobi się, zrobi, wpadnijcie jutro do mnie do banku. Zdrowie pięknej małżonki szanownego łaskawcy, wiwat!

— Felek, czy masz jeszcze aby „piątaka", bo może nam zbraknąć do rachunku?

— Mam jeszcze całego „dwudziestaka", kelner! Jeszcze dwie z kropelkami!

— Panno Anulko, czy aby naprawdę? Więc zgadza się pani? Oh! jakiż ja jestem szczęśliwy!

— Ty jesteś komunista, ale fajny chłop.

— A tyś, bracie, hitlerowiec, ale daj pyska.

— A cóż to, dorożkarz ma na dworze moknąć? Niech pije tu razem z nami. Kelner! zawołać tu dorożkarza, a i koniowi wynieść dwie kanapki ze szczypiorkiem, niech podje sobie zwierzę zgłodniałe.

— Daj pyska „sałaciarzu!".

— Dziwna rzecz, przyszedłem do tej knajpy z pięćdziesięcioma groszami całego majątku, a teraz mam pełne kieszenie forsy, i w dodatku sam nie wiem skąd?...

— Nie martw się, pewnie ci ktoś pożyczył!...

— Patrzcie, patrzcie! Generał całuje się z dorożkarzem...

— Niech żyje generał!

— Wiwat dorożkarz!

Wiwat wszystkie stany! Tak oto wygląda druga nasza ojczyzna, nieskazitelna i czysta Polska wyborowa. Nie znajdziesz złości, pychy ni prywaty pośród tych ludzi szlachetnego ducha (spiritus) i szczerej dobrej (Sucho-) woli. Wszyscy są tu równi bracia i każdy za każdym się „wstawi".

Dygnitarz zrzuca z siebie dostojeństwo, szary ludek patrzy ufniej w przyszłość, ba nawet kobieta staje się aniołem, zwłaszcza po wytrąbieniu dwóch butelek wódki.

Wpływają dobrowolnie olbrzymie podatki, wpłacane chętnie na monopole.

Niestety, z trzeciem pianiem kura, kwitnący kraj ten zapada się w gruzy, rozwiewa się i wtapia w listopadowy, ołowiany ranek.

Ponury turkot wozów asenizacyjnych obwieszcza nastanie „trzeźwego", dziennego państwa, a odór zionący ze śmieci, przywraca obywateli do zupełnej trzeźwości.

Rozpoczyna się teraz mozolne naprawianie szkód, spowodowanych nierozwagą poprzedniego „wstawionego" regim'u.

A więc: odwołuje się wszelkie „bruderszafty", wycofuje niebacznie dane obietnice, tępi się przyjaźń, miłość i braterstwo.

— Nie znam takiego! Co? W sprawie Kuszpietowskiego? Proszę powiedzieć, że nie przyjmuję.

— Pan jest bezczelny, pan się zapomina, nic panu nie obiecywałam, ubzdurzyło się panu i wogóle proszę mię nie „tykać".

— Pana niema w domu.

— Pani dopiero co wyszła.

— Co? Pożyczyć dwa złote? Na mleko dla dzieci? Niestety przyjacielu, mam sam złotówkę całej parady.

— Mówi się do mnie „panie generale", a nie per „Boleczku", zrozumiano?

— Świń z panem nie pasałem!

Tak się oto załatwia sprawy w ramach „trzeźwego" państwa, a jeżeli przypadkiem uda się coś załatwić pomyślnie, to należy to przypisać przeoczeniu pozostałości z poprzedniego „wstawionego" mocarstwa o silnej mocy 45°.

Marja L. Krüger

Od pszenicy do nałożnicy

W sztuce Pawlikowskiej „Egipska pszenica", bohaterem jest młody człowiek imieniem Soter. Czasopismo „Rodzina Polska", w recenzji sztuki, nazywa Sotera — Soternem. Nie jest to błąd zecerski, gdyż zmiana końcówki powtarza się stale. Trzeba już było jednak wobec tego zachować oryginalną pisownię — Sauterne.

Odkryta jest już przyczyna
skąd biorą się dzieci? — z wina.
Znalazła ten sposób kobieta —
zdradziła ją „Polska Rodzina".

Że zamiast banalnych już metod
i jest consummatum, czy nic jest —
wystarczy kobiecie Sauterne,
Cinzano, lub może Xeres?

To wogóle ma głębsze znaczenie,
chociażby z tej prostej racji,
że ziszczą się wreszcie marzenia
speców od populacji.

Lecz ci wymagają stanowczo:
wytwórczość ma być krajowa.
A zatem niech żyje rasa
i czysta i wyborowa!

I tyle będzie n a ł o ż n i c
(pić będą już nałogowo)
że Boy poradnię otworzy
— anty-alkoholową.

Mirjamnik



Rys. Z. Jurkowski. — Proj. A. Nowaczyński.

Słowniczek wyrazów obcych

Konstypacja — pewna odmiana konstytucji.
Limfa — gatunek sosny wysokogórskiej.
Polip — Lilpop.
Vademecum — marka odkurzacza elektrycznego.
Glicynja — metal, w którego skład wchodzi glina i cyna.
Flageolet — birbant.
Feniks — nocny lokal w Krakowie.
Prostracja — racja prostaków.
Poliglotka — idjotka, niepozbawiona pewnego poloru.
Kinetyka — etyka na filmie.
Koncesja — Cesia Kon.
Konfiguracja — pomnik rodziny Konów.
Lustracja — wesoły argument.
Indolencja — lekcja indyjskiego.
Serwantka — usługująca.
Apollo — nazwa kina.
Draperja — paznokcie.

Z Krasickiego

Oto dwie bajeczki J. Krasick'ego, które mimo swoich 168-u lat, nie nie straciły na aktualności i odmalowują trafnie stosunki w dzisiejszej odrodzonej Polsce.

Lew pokorny

Źle zmyślać, źle i prawdę mówić w pańskim dworze.
Lew, chcąc wszystkich przeświadczyć o swojej pokorze
Kazał się jawnie ganić. Rzekł lis: — Jesteś winny,
Boś zbyt dobry, zbyt łaskaw, zbytnie dobroczynny. —
Owca widząc, że kontent, gdy liszka ganiła,
Rzekła: — Okrutnyś, żarlok, tyran... już nie żyła.

Chleb i szabla

Chleb przy szabli gdy leżał, oręż mu powiedział:
— Szanowałbyś mnie bardziej gdybyś o tem wiedział,
Jak ja na to pracuję i w wieczór i rano,
Żeby twoich bezpiecznie darów używano.
— Wiem ja, chleb odpowiedział, jakim służysz kształtem,
Jeśli mnie często bronisz, częściej bierzesz gwałtem.

Janusz Minkiewicz

Aktualja

Sabat czarownic — to określenie zbyt przesadne na wieczór autorek polskich, który odbył się w ubiegły piątek w salach wystawowych IPSu. To była raczej rewja mody.

Dla pani Well, uroczej konferensjerki wielu poprzednich rewij mód, rola zapowiadaczki jeszcze jednej rewji nie nastręczyła żadnych trudności, jej suknia — cudowne krep marokę — pochodziła z maison „Bluszcz".

Jako pierwsza zareprezentowała się pani Ewa Szelburg-Zarembina w efektownej kreacji ze złotej lamy. Trzeba zaznaczyć, że do pokazu mód w IPSie wprowadzono oryginalną inowację. Mianowicie, modelki w czasie demonstrowania swych ubiorów czytały różne utwory. Inowację tę należy powitać z uznaniem, gdyż publiczność znudzona monotonnym głosem modelki, szuka zapomnienia przyglądając się szczegółom jej stroju.

Pani Herminja Naglerowa pokazała nam ostatnią nowość. Jest to t. zw. deux-piéces, czyli spódniczka i bluzka, każde z innego materjału i odmienne w kolorze. Pomysł rewelacyjny. Można bowiem taką kreację przerobić z jakiejkolwiek starej, już niemodnej. Np. z sukni z grubego crépe satin. Nie można jej nosić, bo o wiele za krótka. Na szczęście nie przecięta w pasie, więc łatwo jej użyć jako materjału na spódniczkę, zachodzącą ponad kostkę. Rękawy trochę przetarte posłużą na szarfę, wiązaną styłu na kokardę. Rozcięcie zboku nada jej pewnego cachet.

Skolei pani Morozowicz-Szczepkowska wystąpiła we wspaniałej wieczorowej toalecie ze strusich piór. Również i w kapelusz modelki wetknięte było jej ulubione pióro, którem napisała „Sprawę Moniki". Podczas prezentacji, pani Morozowicz-Szczepkowska odczytała dwa kilo rękopisów swoich nowych dramatów kobiecych.

W zastępstwie p. Boguszewskiej młodziutka adeptka szkoły gotowania na gazie odtańczyła solo taniec łabędzia.

Reasumując wnioski z rewji mód należy stwierdzić, iż o ile toalety wspomnianych pań były bardzo różnorodne i urozmaicone, o tyle ich utwory nie różniły się od siebie niczem. Każda z pań czytała swe rozpaczliwe opowieści o nędzy, o proletarjacie, o smrodzie w ubogich mieszczańskich mieszkankach, o codziennych kłopotach, zmartwieniach paniuś z przedmieść.

Zastanawiam się, czy nie zwrócić się czasem z apelem do mężów pań piszących, aby wywieźli je gdzieś na szerszy świat, żeby skierowali żonine obserwacje w inne strony, aby przewietrzyli stęchłe mieszkania, w których powstają ponure nowele i wiecznie takie same powieści.

Ale wracając do owego wieczoru niesposób nie zaznaczyć ogólnego żalu publiczności, spowodu nieobecności P. Migowej. Brak tego pierwiastka seksualnego dał się odczuć również przez nieobecność pani Wandy Melcer - Rutkowskiej - Sztekkerowej, która częściej zmienia nazwiska, niż tematy swych reportaży.

Mimo tych braków wieczór należy uznać za udany. Każdą nową kreację sala przyjmowała z aplauzem i zmuszała modelki do bisów. Jedynie toaleta panny Muszałówny nie znalazła należytego uznania. Dziwiono się, dlaczego panna Muszałówna brała udział w wieczorze. Przecież

Panny Muszał
Nikt nie zmuszał!

Z „Warszawskiej Szopki Politycznej 1934-1935"

Z nowej szopki, której premjera odbyła się wczoraj w sali „Nowej Komedji" (Karowa 18), cytujemy piosenkę Miriama.

MIRIAM - PRZEŚPICKI

(śpiewa na mel. „Bubliczki").

Czy słyszał pan plotkę,
Że Norwid miał ciotkę,
Zupełną idjotkę
Staruszkę pstrą...
Niesłuszna więc wrzawa
Bo czysta jest sprawa
Kupiłem jej prawa
Za rubli sto.

Odkryłem go z gestem,
Nabyłem za bezcen,
Dziś ciotką sam jestem
Mirjam de Sade.
Ten geszeft się przydał
I odtąd Norwida
Nikt więcej nie wyda
Przez wiele lat.

Zarzuty mi czyni
Niesłusznie pan Pini
I w oczach opinji
Szkodzić mi chce.
Lecz pomyśl pan zdrowo,
Bo daję ci słowo,
Że sztukę handlowo,
Traktuje się.

Taksamo zysk ci da.
Elegja Norwida,
Jak inna „Elida"
Lub „ceres" sam.
Kupiłem, odkryłem,
Ukryłem, stłamsiłem
Wawrzyny zdobyłem —
Interes mam.

Więc sklepik dziś sobie,
Z Norwidem już zrobię,
Niech płacą mi snobi,
Mam przecież akt.
Buliłem rubliczki,
Gorące rubliczki,
By wziąć dla publiczki,
Norwida w pacht...

(na mel. „Kołysanka"):

Śpij Mirjamie już,
Śpiące oczki zmruż.
Może Norwid do twych snów
Zajdzie porozmawiać znów.
I pod gwiazdą akademji
Jak w Paryżu tak się zdrzemie,
Psi - psi sobie grzecznie zrób,
No, i prześpij kilka dób (zasypia).